

tego zamiaru — rzekł energicznie — pójdę do końca, co bądź się stanie, drogą raz wytkniętą!

— Czy to ostatnie słowo?

— Ostatnie.

— To śmierć dla pana!

— Śmierć? niechby — odpowiedział Jerzy — przyjmuję z radością, jeśli tym sposobem będę mógł zwrócić ojcu honor, który mi wydarł jakiś podły morderca!

Przez oczy Romy przebiegały błyskawice. Gwałtownym ruchem spuściła welon na twarz, zmieniona i skierowała się nagle ku drzwiom.

— Niechże się więc stanie to, czego sam pragniesz! — rzekła — odrzucając moją prośbę, gubisz się! — Otworzyła drzwi i wybiegła szybko.

Jerzy pozostał zmieszany, niespokojny, usiłując uspokoić wzburzone myśli. Przez jedną chwilę nawet chciał wołać tej kobiety, która odchodziła z groźbą na ustach i może byłby już próg przestąpił, gdy nagle uczuł, jak ktoś łagodnie dotknął jego ramienia. Odwrócił się — był to Rigolo. Trzymał palec na ustach i uśmiechał się tajemniczo.

— Co pan chciałeś uczynić? — spytał tonem łagodnej wymówki.

— Ależ ta kobieta... — wyszeptał Jerzy.

— Ta kobieta odeszła, a pan dobrze uczyniłeś, nie zatrzymując jej. Uczyni to, co zechce i to nas nic nie obchodzi. Mamy teraz o ważniejszych rzeczach do myślenia. Widzi pan, szczęśliwie się stało, że przed chwilą ukryłem się w tym gabinecie, podczas gdy pani Mayot rozmawiała z panem... Pozwoliło mi to usłyszeć waszą rozmowę i nie oddałbym tej chwili niedyskrecji ani za 1000 franków!

— Ależ panie...

— Tylko bez gniewu. Jestem przepełniony najszczerzszymi uczuciami względem pana. Chcę panu służyć, a zdaje mi się, że nie natrafię już na lepszą sposobność.

— Wytlómacz się pan.

Rigolo się już nie uśmiechał.

— A więc jesteś pan synem hrabiego Torella?

— Skoro pan wiesz...

— Tak, tak... słyszałem wszystko! Rozmowa zresztą była tak zajmująca, a ja miałem osobiste powody, aby nie stracić z niej ani jednego słowa.

— Jakie powody?

— Znałem hrabiego. Tak jest. Było to na początku mojej kariery i wszystko, cokolwiek tyczyło się tej sprawy, utkwilo mi głęboko w pamięci.

— Hrabia był niewinny!

— Byłem o tem zawsze przekonany... Ale dowody były bardzo obciążające, no! i został stracony. Tylko, że w tej sprawie jest jeden punkt, który dotąd nie został rozświetlony.

— Jakiż to?

— Nie pora tu ani miejsce do poruszania tak ważnych rzeczy... ale moglibyśmy jeszcze o tem pomówić. Zdaje mi się, że pan ma zamiar wracać do Paryża. — Otóż o ile wiem, powóz jest zamówiony i jeżeli towarzystwo człowieka takiego, jak ja, nie sprawi panu wiele przykrości, przyjmę z ochotą miejsce, które pan mi ofiaruje. — Wszystko się składa jak najlepiej; teraz zjedz pan śniadanie, a ja przejdę się po okolicy, by zebrać potrzebne mi wiadomości. Gdy powrócę, pan będzie już gotów do drogi — i będziemy mogli odjechać.

— Bardzo dobrze.

— To szczęśliwie! Do widzenia zatem, a powiadam panu, że we dwóch, praca będzie lżejsza!...

W godzinę później Jerzy Beraldi i agent Rigolo opuszczali oberżę pod „Złotą papugą“, a nazajutrz stanęli w Paryżu.

Brzuchacz i Stalowe serce.

Upłynęło kilka tygodni, które nie przyniosły nic takiego, co mogłoby rozświetlić tajemnicze morderstwo z ul. Monge, jak również tajemnice małego miasteczka Cabrol. Rigolo powrócił do Paryża

w towarzystwie Jerzego Beraldi i obaj podróżni, pożegnawszy się na peronie, udali się każdy w swoją stronę. Podczas jazdy musieli zapewne obmyślić plan postępowania energicznego i podczas, gdy Jerzy wskakiwał do dorożki i kazał się wieść na ul. Faitbout, Rigolo w drugiej dorożce spieszył do swojego szefa, Buvard'a. Buvard oczekiwał na niego, a rozmowa tych dwojga ludzi była bardzo ciekawa. Rigolo wyszedł od swojego przełożonego z twarzą jaśniejącą zadowoleniem i udał się prosto do swojego mieszkania. Nazajutrz powrócił do swoich zajęć codziennych. Widziano go przebiegającego ulicę Paryża coraz to w innym przebraniu na pozór obojętnego na wszystko, a jednak Rigolo baczność uwagę zwracał na najmniejszą drobnostkę. Raz widziano go kręcącego się w okolicy domu p. Rebard'a. Miał na sobie mundur urzędników z gazowni miejskiej. Było to rano; wszedł do małej restauracji i kazał sobie podać szklanekę wina. Lokal był prawie pusty, chwila była dobrze wybrana. Rigolo wdał się zrecznie w rozmowę z restauratorką. Do tej pory zbrodnia nie była wykryta, a



— Błagam pana — miej litość... muszę z panem mówić.

ciekawi znudzili się już czynieniem rozmaitych przypuszczeń. Dzienniki z początku narobiły wiele hałasu, rozpisując się szeroko na temat tej strasznej, krwawej zbrodni; reporterzy nawet zagalopowali się, obiecując w najbliższym czasie wyjawienie publiczności nazwiska morderców. Ale później dzienniki zamilkły i czytelnicy zapytywali się oburzeni, co myśli sobie policja, że tak leniwo bierze się do dzieła.

Rozmowa z właścicielką garkuchni nie zaciekała bardzo Rigola. Zapłacił swoje wino, rzucił parę centimów chłopcu usługującemu i skierował się ku wyjściu. Nagle, gdy już miał drzwi na ulicę otworzyć, gość siedzący przy bocznym stoliku, a na którego nie zwracał dotąd uwagi, zaciekał go. Był to człowiek o oryginalnym wyglądzie, ciemno ubrany, cokolwiek ułomny, z długimi, rozczochranymi włosami, spadającymi mu aż po oczy. Rigolo, jak niektórzy sławni lekarze, którym jeden rzut oka wystarcza do określenia choroby chorego, posiadał sąd prędki i prawie zawsze pewny. Na widok nieznanego ciekawość jego nagle pobudzoną została; skinął więc nieznacznie na chłopca, który podrzucał jeszcze na dłoni srebrny pieniądz, otrzymany od niego przed chwilą.

— Słówko, mój przyjacielu — rzekł szybko i

cicho Rigolo — czy znasz tego tam, co siedzi przy bocznym stoliku?

— To? — odpowiedział chłopiec z pogardliwą miną — to najmniej sympatyczny gość załóżd.

— Czy dawno tu chodzi?

— Od czterech dni dopiero.

— Czy on jest z tej dzielnicy?

— Tak się zdaje.

— Czem się trudni?

— Tego nie wiem... ale jeżeli pan tego żąda....

— Nie, nie... to niepotrzebne, ja tu jeszcze powrócę i przekonam się, czy to jest ten sam człowiek, o którego mi chodzi.

Rigolo wyszedł. Nazajutrz znowu pilnował z daleka willi Senneterre. Robił to bardzo ostrożnie; przechodził przez ul. św. Honoryusza, a raz tylko posunął się tak daleko, że stanął pod ogrodem od strony ul. Gabryela i ciekawy wzrok zapuścił w okno willi.

Pewnego dnia wieczorem o godz. 11, człowiek jakiś wyszedł z ul. Ecuries d'Artois i skierował się ku Polom Elizejskim. Szedł wolno, paląc fajkę, mrucząc coś pod nosem. Czasem wyraźniej dobiegały słowa; czynił sobie komiczne wyrzuty tonem dobrodusznym i przyjacielskim. Najwidoczniej był pijany, ale utrzymywał, że wypił tylko kilka szklanek w towarzystwie Pitaachard'a, który jest skończonym opojem, on zaś wcale nie był pijany, powietrze go tylko trochę odurzyło... to zwyczajna rzecz... szczególnie gdy się nie jest przyzwyczajonym. A zresztą to zaraz przejdzie, nie dojdzie do placu Zgody, a to wszystko wywieje mu z czupryny. I szedł dalej, zataczając się i zakreślając duże koła, które tylko go oddalały od placu Zgody. Niedaleko willi Senneterre zaczepił nogą o kamień na ulicy, jakby umyślnie tu położony, aby sobie kark skrzył i tracąc równowagę, potoczył się na ławkę, która stała o parę kroków.

— Do stu szatanów — zaklął ze złością i zamilkł.

Wyciągnął się ciężko na ławce, oparł głowę na ręce i zasnął prawie natychmiast, nie zwracając uwagi na bezludną ulicę i ostry chłód nocy. Miejsce to nie było bardzo bezpieczne i gdyby człowiek ten był mniej pijany, byłby go się wystrzegał. Pod cieniem gęstych starych drzew o kilka kroków od niego, stało dwóch ludzi, którzy zamienili ze sobą znaczące spojrzenie. Dwóch ludzi o podejrzanym wyglądzie, dwóch nocnych opryszków najgorszego gatunku. Z początku uczuli się niezadowoleni na widok pijanego człowieka. Zapewne znajdowali się tutaj dla dokonania ciemnej misji, która nie potrzebowała świadków. Lecz w parę minut zobaczywszy, jak człowiek ten potoczył się na ławkę i przekonawszy się, że śpi mocno, zaśmiali się obaj złowrogo.

— On jest porządnie ścięty — rzekł jeden z nich.

Drugi tylko ruszył ramionami. Byli to dwaj nędznicy, z których rekrutuje się armia zbrodniarzy paryskich. Podobno jest takich około 10.000, którzy co rano budzą się, nie wiedząc, gdzie zasną wieczorem.

Jeden z nich nazywał się Brzuchacz i był prawie stałym mieszkańcem Tulonu, drugi był znany pod przezwiskiem „Stalowego serca“ i trudno było dowiedzieć się, skąd pochodził. Po kilku chwilach milczenia Brzuchacz pochylił się do towarzysza.

— Gratka dla nas — szepnął przyciszonym głosem.

— To co — odparł drugi — wyszedł przed chwilą z knajpy, ręczę, że nie ma nawet na tramwaj przy sobie.

— Kto wie! można spróbować choćby dla zabawki.

— A jeżeli tamten nadejdzie tymczasem?

— Phi! Może całkiem nie przyjdzie... Ale patrzno!...

— Co takiego?

(Ciąg dalszy nastąpi).